



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## KORZYŚCI I NIEBEZPIECZEŃSTWO

### NOWOŻYTNEGO WYKSZTAŁCENIA.

W żadnej epoce życia ludzkości wyraz: postęp nie przybierał tak wielkiego znaczenia jak obecnie; wszystko w koło nas dążąc za postępek zmienia się i przetwarza, poczynając od form życia zewnętrznych, aż do pojęć i poglądów na to życie, jego cele, jego warunki. Odnosi się to zarazem i do nauki, do kształcenia umysłowego; nie chcemy już ograniczyć się do pewnej sfery wiadomości, pragniemy szerszej wiedzy o życiu i świecie, któraby rozjaśniając nasze zapatrywania się na obowiązki i przeznaczenie człowieka w społeczeństwie, torowała nam drogi życia. Rodzice stosują też do tego wychowanie, wykształcenie dzieci swoich, pragnąc uczynić z nich ludzi o szerszym na życie poglądzie, o wiedzy wielostronnej, co niewątpliwie podnosi i daje możność doskonalszego zrozumienia celów, ku którym dąży ludzkość, ale to rozszerzenie zakresu wiadomości naszych przedstawia i pewne szkopy, pewne niebezpieczeństwa powierzchownej jedynie wiedzy — powierzchownego na świat i ludzi poglądu.

Kto chce za wiele ogarnąć, nie dość dobrze ujmując... mówi przysłowie francuzkie i zdanie to jest głęboko rozumne; nie ilość wiadomości w umysł wprowadzonych, ale rozbudzenie myśli; rozbudzenie sądu o celach życia — to proces duchowy, przez który indywidualność nasza urabia się harmonijnie i podnosi nad poziome jedynie zabiegi istnienia, stanowi o przyszłości życia. Gdy obok tego prawdziwe zamięłowanie wiedzy wzbudzi pragnienie nanki, gdy myśl nasza nie da się już zamknąć w kole potocznych jedynie wiadomości życia, ale zechce otworzyć sobie te szersze jego przestwory, gdzie widzimy człowieka dążą-

cego pod górę żywota, wtedy wykształcenie umysłu przez wprowadzoną w niego wiedzę rozjaśnia drogę naszą wśród ludzkości i jest nam natchnieniem dobrem, w którą stronę skierować się mają kroki nasze.

Wybór pracy jest ważnym dla życia człowieka aktem; konieczny tu podział sprawił, że zadania jej rozmaite przystosowywać się muszą do celów, ku którym dążyć nam należy i które przedstawiają się jako obowiązek do spełnienia. Kobieta przeznaczoną jest do życia w rodzinie, do działalności wśród tej rodziny i obok wykształcenia ogólnie ludzkiego potrzebuje posiadać wiadomości powołaniu jej odpowiednie — potrzebuje posiadać przekonania, że to powinność jest, aby umiała powołania tego zadaniom odpowiedzieć. Jeżeli umysł jej płytkim nie jest, zrozumie konieczność tego i sama zapagnie oświecić się w kierunku obowiązków swoich, nie czując się przez to bynajmniej niższą od mężczyzny a w każdym razie potrzebuje postawić sobie pytanie, kto, w razie usunięcia się jej od wychowania dziecka, od zarządu domem rodziny, miejsce jej zastąpi? Musiałaby to być zastępczyni płatna i czy najlepsza nawet zdolną jest być tutaj tem, czem ona by była?

Miłość góry przenosi i matka obdarzona mocy tej siłą posiada taką zdolność oddziaływania, jakiej nikt po za nią mieć nie może, a że i dziecko kocha także, te dwie miłości wzięte razem stają się w wychowaniu macierzyńskim mentorem, jakiemu równego nie ma. Nigdy też i w niczem wyższe wykształcenie kobiety nie występuje tak wybitnie w wartości swojej, jak w obec dziecka, którego istotę urabia, dając dobrem instynktem poparcie, zatłumując to, co złem wykazać by się mogło.

Ta matka jest przecież i małżonką, a tu wykształcenie jej umysłu: wyższe, lub niższe zdolność pojmowania życia w zagadnieniach jego rozmaitych, ma znaczenie wysokie tak dla szcze-

ścia rodziny, jak i dla wpływów, przez które oddziaływać może na towarzysza życia swego. Mąż rozumnej żony ma w niej zarazem i przyjaciela najlepszego, któremu może się zwierzyć ze wszystkim, co w jego głębi jest niepokojem, niepewnością — w obec czego wola jego się wacha, a gdy stojący tak na rozstajnych drogach żywota znajduje w niej oparcie i pomoc, miłość jego łączy się z szacunkiem, w obec którego nie ma tu już po stronie mężczyzny tej przewagi, któraby kazała kobiecie stać niżej. I w chwilach życia ciężkich, w chwilach tych doświadczeń losu, który sił naszych próbę bierze, kobieta zdolna pojmować życie z jego stron różnych, stawa przy boku męża jak towarzysz, przed którym może się ze wszystkiego zwierzyć — którego rady może zasięgnąć.

I umie się wtedy wziąć do pracy; niejedna pragnąc grosz jakiś oszczędzić pracuje jak najprostszą sługą, dzieci obszywa, dopóki może uczy je, a nie chcąc nie z miłości męża utracić nigdy go skargą bolesną nie zrani, nigdy się na dolę swą smutną przed nikim nie uskarży, w czem przecież przewodnikiem jej i doradcą jest ten umysł wykształcony, który pozwała moralne strony rzeczy materialnych odszukać i stanąć uczuć ludzkiego serca rozumieć. Że przecież ciężko jest bez wytechnienia w jarzmie takiego życia chodzić, wykształcona szuka sobie pociechy w tem, co ją przenosi myślą w świat ideału i dobra książka, w chwilach odpoczynku czytana krzepi jej ducha, a jeżeli jest muzykalną nietylko ona sama znajduje sobie wdzięczne zajęcia czasu, ale rozwesela dom cały i chwile owe, w których mąż po pracy na chleb rodziny obok żony takiej spędza, przynoszą mu to pokrzepienie słodkie, jakiego potrzebuje, aby życie jego nie było jedynie pańszczyzną ciężką na rodziny tej utrzymanie. Nigdy też kobieta taka nie będzie czuć się poniżoną, nie będzie uważać się za zepchniętą w dół żywota, a uczucie to, że jest użytecznym wśród spo-



leczeństwa swego czynnikiem, już ją uchroni od tego smutnego pesymizmu, który ogarnia bezczynną i nie pojmającą stanowiska jakie kobieta zająć może, spełniając naturalne swe obowiązki.

(Dokończenie nastąpi).

## POGA WĘDKA.

Wszystko ma swój koniec, to też i zmartwychwstają pogrzebane już od tak dawna bulwary p. Dewarsa. Kiedy ostatecznie powołane zostaną do życia, tego oczywiście żaden John King przewidzieć nie zdoła, ale pewnym jest jedno tylko, że cała sprawa owych ciekawych bulwarów nie pogrzebaną, lecz zawieszoną jeno na kołku została.

To duża różnica!..

Łatwiej jest z kołka rzecz zdjąć jakąś, niż ją z pozagrobowego całunu dobywać.

Cała więc sprawa owych pięknych pana Dewarsa projektów, według najpewniejszych wiadomości, zależeć będzie od ostatecznego zakończenia kupna szpitala Dzieciątka Jezus i budowy nowego na folwarku Świętokrzyskim. Po załatwieniu tej transakcji, bulwary pana Dewarsa znów na porządek dzienny wejdą. Nim to jednak nastąpi, piękny brzeg Wisły w dotychczasowym opuszczeniu zostanie. Mało już dziś nawet poetów tak sentymentalnych, którzyby na jej piaszczystem wybrzeżu większego polotu dla swych myśli, albo głębszego natchnienia szukali. Nie spotkasz tam z tych marzycieli nikogo.

Postępkiem, choć mówiącym o wzniosłości ducha artysty, jest zniszczenie „Szału uniesień“ bądź co bądź pięknego obrazu Władysława Podkowińskiego.

„Szał“ padł ofiarą niezadowolonia twórcy ze swojego dzieła. Malarz płód swojego ducha zniszczył własną ręką, sam na sobie częściowego samobójstwa dokonał w chwili najmniej spodziewanej przez ogół. Na krytykę użalać się nie mógł; zresztą—za śmiało to może z mej strony twierdzenie—artyści pióra czy pędzla zbyt wrażliwi na p. ciski zoilów, artystami jeszcze wcale nie są. Co się mnie osobiście tyczy, jestem z natury dość tkliwego usposobienia—jednak najmniej się rozczulam, czując na swoich plecach ciężki krytyki. Mówię to tem śmielej, że przed posądzaniem o zarozumiałość czy pychę, czy może jeszcze o inny jaki grzech główny—tajemniczy ochrania mnie pseudonim. Zastrzegam się jednak przeciw zarzutowi — tehórzowstwa. Powiedziałbym to samo i tak samo, maskę odjawszy z twarzy. Przekonać się mogę—ale uczuć ból, że nie wszystko udało się dobrze—tego jakoś nie umiem. Wysiłam się wtedy tylko nad poprawieniem rzeczy niedobrych lub błędnych, jeżeli zaś dokonać tego nie mogę—no, to macie mnie takiego, jakim jestem; wy zaś sami, panowie sędziowie, zakasajcie rękawy i pokażcie jak to się lepiej robi.

— Niepotrafimy!

No, to nie napadajcie bardzo a sądźcie groble według stawu, ale wy częstokroć chcecie przy niewielkiem lecz wdzięcznym jezioru, okrutne groblisko widzieć. W tem wasz błąd i wasza mała popularność.

Ale to rzeczy...

Podkowiński nie jest potentatem w sztuce, królewskiego berła dotąd w ręce swoje nie ujął, ale jest panem na swoich śmieciach, które zna dobrze i wie, wiele one drogich ukrywają kamieni. Dochodzące głosy, że go ubodły tu i tam zasłyszane niepoehlebne zdania o jego „Szału“ nie mają żadnej podstawy: on zna swoją siłę i wartość dzieł swoich, dojąc go nie mogły szpilkowe ukłucia. Cóż więc być mogło przyczyną szalonego postępu malarza, który zniszczył obraz, przez głębiej patrzący ogół, uważany za piękny?

Odpowiedź krótka.

Stworzone przez malarza dzieło, niepodobało się samemu twórcy.

Czy to być może?...

Człowiek, ogólnie biorąc, jest takim samolubem, tak kocha siebie, każde słowo wypowiedziane przez niego wydaje mu się szczytem mądrości, każda rzecz, którą on zrobił, doskonałością niemal. Ta zarozumiałość, jest powodem tylu dąsów i kwasów w życiu codziennym. Pani Magdalena rozgniewała się na Giertrudę, dowiedziawsza się od przyjaciółki, że fason jej kapelusza ostro skrytykowany został. Jaktó—kapelusz przez nią wybrany, dwanaście razy przymierzany, dwa razy tyle przerabiany i pani Giertruda mówi, że jest nie do twarzy? To prosta zawiść!.. Pan Gaweł na Pawła rozsierdził się, że ten nie przyznał mu mistrzostwa w grze wintowej... Co? on fuszeruje w wincie—Gaweł!.. I zaczynają zezem patrzeć na siebie, ledwie do dawnej przyznają się znajomości.

Dla czego?

Obrażoną została miłość własna pani Magdaleny i pana Gawła.

Niestety! tak się dzieje na tym najlepszym ze światów, ale inaczej się ma nieco z tą miłością własną tych ludzi, którzy wysunęli się nad granicę przeciętności, w których łonie silniejszy ogień zapłonął niż zwykły płomyk stearynowej świeczki. I oni nie są pozbawieni miłości własnej, ale jak różną jest ta od tamtej.

Myśl, która powstała w głowie poety czy malarza, zanim się w słowo zamieni, albo przemówi przez linie i barwy, nieraz olbrzymie ma rozmiary i oświetlenie tak słoneczne, że duch mistrza walczy długo sam z sobą, nim postanowi dać jej ciało. Nieraz mu czoło gorącym potem opływa, nieraz go lęk ogarnia, zmiechęcenie opanowuje, widząc ubóstwo słów, młdłość barw, jakimi ma przemówić do świata pieszczone dziecko jego duszy. Po trwogach i omdleniach, po całej tragedii walk wewnętrznych—stało dzieło skończone. Tłum przypatrujący się nie zna pierwowzoru, który w znacznej części ukryty został w tajemniczej głębinie ducha mistrza. Wydaje mu się ono piękne, nie szczędzi pochwał, pieniędzy nawet—stawa artysty rośnie...

Ale—ale—wiesz czy mistrz pędzla zna pierwowzór, którego słabe odbicie postawił ludziom przed oczy. Zagłębia wzrok do duszy swojej, gdzie pozostał posąg wspaniały, patrzy na ten, któremu dał już ciało—i dziwny smutek go ogarnia.

-- Piękny!—mówią tłumy.

— O, to nie ten, o jakim marzyłem — odpowiada w myśli swojej ofiara słów i barw.

— Dam ci tysiąc, dwa, trzy — woła zapalony znawca, a posiadacz skarbów ziemskich, na widok wspaniałego dzieła.

— Dałbyś miljon — dośpiewuje w duszy zboleła twórcza — gdyby ono wyszło tak, jakim je pojął.

Jeden sprzedaje towar, znęcony ceną — inny, choć bez zasady może drażliwy w sumieniu własnym—bierze nóż i niweczy płód własny.

Tak postąpił i Władysław Podkowiński.

Miał nabywcę, miał grosz piękny z pięciu tysięcy rubli złożony, dający mu możność na lat parę usunąć się od trosk ciężkiego, codziennego życia, mógł oddać się nowej pracy nad większym dziełem, a jednak demon zawodu, zawodu, o którym sam twórca tylko wiedział, włożył mu nóż do ręki.

Szał „Szał“ zniszczył—choć ten czyn Omarowy był dokonany ze zdumiewającym spokojem. Nie sądźmy postępu—malarz miał prawo z dzieckiem swoim postąpić według swej woli, a jednak, czujemy żal do niego i zarzucamy nieuczciwość pewną.

Tak—niezwykliśmy słów cofać.

Od chwili gdy obraz wystawiony został na widok publiczny, w pewnej mierze stał się własnością ogółu. Dać i w taki sposób odebrać — to barbarzyństwo!

Niech twórca „Szału“ nie bierze tylko słów naszych w zbyt dosadnym znaczeniu. Barbarzyństwem nazywamy wszelki ból, choćby ukłuciem szpilki zadany. Podkowiński nam go nie oszczędził. Zniszczył rzecz piękną, zubożył skarbiec sztuki i dlatego mamy słuszny żal do niego.

Ale, jak rzekliśmy, w każdym z nas siedzi kawałek waryafa.

Bądź co bądź, każda krzywda domaga się nagrody. Sądźmy, że i pan Podkowiński nie innego od nas jest zdania. Zatem — czekamy wynagrodzenia krzywdy, warujemy się tylko przed powtórnym użyciem noża.

Dawno już z wami, szanowni czytelnicy, nie spacerowałem po ulicach Warszawy, a bardzo dawno nie zazierałem na wystawę etnograficzną. Jakkolwiek dość częstym jestem tam gościem, ale gdzie a gdzie, to tam właśnie, dla niezbyt dostępnych dla mnie przyczyn, najrzadziej z wami spotkać się mogę. Nie piję specjalnie do was, z którymi zawsze i wszędzie miłą mi jest pogawędka, (niech mię Bóg broni od podobnej niesprawiedliwości) ale w ogóle jakoś dziwnie obojętnie omijamy drzwi wyż wspomnianej wystawy. Nie powiem ażeby to dobrze świadczyło o nas. Bez pewnych nagromadzonych wiadomości o ludach przeróżnych, trudno nam rzeczywiście przekraczać progę, poza którym najmniejszy drobiazg nieraz coś mówi o nich. Ale czyż to jest przyczyną dość znacznych pustek na salach tej wystawy?

El przyznać się do tego nie miło, no—byłoby może i niesłusznie.

Więc co?

Hm! hm! chciałbym coś szepnąć o pewnej kowieczności spoważnienia umysłowego, o baczniejszem rozejrzeniu się do koła, które to rozejrzenie się baczniejsze, bezwarunkowo na powagę żadaną przeze mnie wpłynie. Bo jak dotąd, to stokroć więcej nas bawia skoki arlekinów, głupi śmiech kłownów, walka szwajcarska na pasy, niż... bodajby wystawa etnograficzna. Niektórzy uciekają od niej, jak od powietrza.

— Panie Janie — mówię przy spotkaniu się na ulicy do pana Jana.—Mam z panem do pomówienia słówek parę.

— Nie teraz tylko, nie teraz — bo czasu nie mam — odpowiada śpiesząc się pan Jan.

— Ja znajduję się w podobnym położeniu — odpowiadam. — Ale naznaczmy sobie gdziekolwiek bądź rendez-vous.

— Bardzo dobrze—zatem...

— Dzisiaj...

— Dobrze —

— O godzinie...

— Dobrze —

— Na wystawie etnograficznej — dopowiadam, zapomniawszy o przerwanej godzinie.

Pan Jan spojrzął na mnie.

— No—co?—mówię.

— Możeby gdzieindziej?

— Gdzież więc?

— W cyrku.

— Eee...

— Benefis genialnego kłowna Adolfa Olszańskiego, szkoła wyższej jazdy, djabelskie santomortale, francuzko-rzymska walka, La serpentine à la miss Fuller i tysiąc innych sztuk i fikań!..

— Wiesz, że w cyrku nie byłem jeszcze ani razu...

— Widzisz!..

— Ależ poczekaj. Nie byłem—i na benefisie sławnego pana Olszańskiego nie będę. Co tam ciekawego zobaczę?

— A na wystawie etnograficznej—co?

Postanowiłem zaciekać pana Jana najświeższą wiadomością.

— Oprócz wielu rzeczy godnych widzenia — prawie...

— Strzały, młotki, naczynia, jaja wielkanocne—wyrecytował pan Jan—i co dalej?

— Przybyła mumja, bardzo pięknie zachowana i umieszczona w sarkofagu.

— Jakaś fabrykacya—zawołał pan Jan.

— Nabyto ją w Gizah, gdzie znajdujące się muzeum wydało świadectwo o autentyczności mumii. Oprócz tego ofiarodawca, pan Ignacy Bernstein, nadesłał kilkadziesiąt innych a bardzo ciekawych okazów z nad granic Nubii. Są to buławy, łuki i kołczany, włócznie i lance, jako też różne ciekawe instrumenty muzyczne i tak dalej i dalej.— Jeżeliś pan dotąd nie był na tej ze wszechmiar interesującej wystawie — to chodź teraz. Mam nadzieję, że Mumia powinna pana zainteresować. Przy tej okazji, pomówimy z sobą w nieobojętnej sprawie.

— Domyślam się—dobrze—dobrze.



— Zatem, rendez-vous, dziś...  
 — Wieczorem, w cyrku, na benefisie Adolfa Olszańskiego—zawołał błagalnym głosem.  
 Poszedł sam—niech bawi się dobrze!

22

# BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT BĘCZKOWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

VII.

W Zagórowie oczekiwano przybycia p. Kamienieckiej z pewną niecierpliwością. Babka Lili upatrywała w tem coś więcej, niż sąsiedzka uprzejmość, tembardziej, że p. Kamieniecka udzielała się sąsiedztwu bardzo mało, a w Zagórowie dotąd nie była wcale.

— Bądź tylko słodką i naiwną, Lili — radziła wnuczce z przejęciem. — Umiej się zastosować do starszylacheckich wymagań p. Kamienieckiej. To inny świat a raczej resztki owego świata, od którego, na szczęście, odbiegliśmy już daleko. Ubierz się skromnie, nie imponuj salonowemi przymiotami; bądź cichą i skromną...

Lila skrzywiła usta.

— Babciu — rzekła niechętnie — po co to wszystko? Nie widzę potrzeby kępować się...

— Co też mówisz, duszko! — oburzyła się p. Dolewska. A Stanisław? W całej okolicy partyi takiej nie znajdziesz. Moja Lili, tylko nie grymas... Jak nie pójdziesz zamaż do dwudziestu lat, to potem trudniej będzie... To już tak bywa. Po co zwłóczyć? Posagu prawie nie masz... Rumszany odłużone... Nieboszczyk twój ojciec nie umiał się rządzić, wcale nie. Sama słyszałam, ile razy matka twoja musiała mu przypominać, gdy trzeba było meble zmienić w salonach, albo konie cugowe... Nie umiał się rządzić, chociaż poczciwy był człowiek o! bardzo!... Więc z Rumszan nic i z Zagórowa niewiele zostanie. Wydajemy dużo.. przynajmniej Kwapiewicz tak mówi. Nie ręczę, czy i on nie okpiwa nas trochę... Ja się na tych rzeczach nie znam; rachunki wszystkie on prowadzi; nie wiem jak tam jest... Stęka wciąż i każe się oszczędzać...

— Babciu! — piękne oczy Lili przymknęły się ze znużenia — moja babciu! po co my o tem mówimy? Co imnie to obchodzi? Nie znam się ani na rachunkach, ani na interessach...

— Więc też dlatego, dlatego właśnie, moja duszko, mówię z tobą otwarcie: potrzeba ci męża bogatego, abyś miała, czego zapragniesz, a sama o niczem nie myślała, — przekonywała babka. — Lili, wiesz chyba, że tylko twojego szczęścia pragnę... daj mi słowo, że postarasz się o to, abyś się tej nadętej arystokratce spodobała. Przyrzecz mi to, Lileczko. Nie masz przecie nic do do zarzucenia Stanisławowi?

— Nic, oprócz tego, że mazgaj, — odparła energicznie. — Nie lubię mazgajowatych mężczyzn!

— Mazgaj! oburzyła się babka. A cóż ci to szkodzi, moja duszko? Taki najlepszy na męża. Powiem ci, aniołku, że znajduję w nim wiele podobieństwa do twego nieboszczyka ojca. Zaczny był człowiek, ale też bardzo powolny. Matka twoja jednak, nie mogąc powiedzieć inaczej, była z nim bardzo szczęśliwa. Sama się nieraz dziwiałam, bo na najszałeńsze kaprysy jej pozwalała... Nie grymas, Lili, proszę cię raz jeszcze. Wiem, że jesteś fantastycka, rozpieszczona, ale trzeba mieć rozum.

Lila uśmiechnęła się niedowierzająco.

— Babunia trwoży się niepotrzebnie, — rzekła. — Czy istotnie tak trudno byłoby o męża dla twojej Lili, babciu?

Pokazała perłowe zębki w uśmiechu i filuternie zajrzała w oczy babce.

— Tego nie mówię, figlarko, — odparła udobruchana. — Ale zawsze wołałabym, aby Stanisław się oświadczył i tyś go przyjęła. Byłabym spokojniejszą. Na hrabiego Zenona nie ma co liczyć...

— Pomyślę o tem, babciu, — odparła Lila poważnie. Może i ty masz rację. Ucałowała ułożowane policzki babki i poszła do swego pokoju, przebrać się do konnej jazdy.

P. Dolewska po odejściu wnuczki zamyśliła się głęboko. Rzadko się jej to zdarzało; nie lubiła w ogóle zastanawiać się nad niczem. Teraz jednak miała o czem myśleć. Lila grymasi, Kwapiewicz stęka; odmówił marnych 200 dukatów na zbliżające się imieniny Lili, które bądźco bądź wyprawić suto musi.

Zadzzwoniła.

— Poprosz do mnie p. rządcę, rzekła służącemu. Śpiesz się...

W kwadrans potem, porwany gwałtem od sianokosu, rządcą i plenipotent Zagórowa w jednej osobie, stanął przed panią zdyszany, spocony.

Na szerokiem zole rozłożyły mu się brwi krzaczaste prawie już siwe i z pod nich spojrzaly teraz ku dziedzicze oczy, niezdecydowanego koloru wprawdzie, ale zdecydowanej stanowczo dobroci i uczciwości.

Cała twarz harmonizowała z oczami temi, a uśmiech jaki na niej często gościł, rzucił na nią jakby blask słoneczny.

Jakób Kwapiewicz za życia ojca Lili był rządcą w Rumszanach. Po śmierci dziedzica i starszej pani, gdy się już nie dla Rumszan zrobić nie dało, sam wprosił się na plenipotentą do Zagórowa, a potem i rządcą został byle oszczędzić wydatków.

— Dziecko zostało, — mówił do starego Macieja; — dla dziecka trzeba pracować i zbierać.

Na tym punkcie godzili się zawsze obadwaj starzy, jedyni, którzy z licznej służby rumszańskiej pozostali.

P. Dolewska, niepraktyczna w najwyższym stopniu i nie mająca pojęcia o interessach, propozycję starego Kwapiewicza przyjęła z radością. Póki zięć żył, wyrównywał niejednokrotnie swoją kieszeń niemiejskością gospodarowania p. Dolewskiej. Irrytowało go to nieraz; ale rady nie było. Gdy zwracał uwagę żonie i prosił, by wpłynęła na matkę, odpowiadała mu spazmami, i kończyło się na tem, że robił, co mógł, by jaką taką równowagę w interessach świekry utrzymać.

Kwapiewicz, ofiarowawszy swe usługi p. Dolewskiej, wziął sobie ciężar na barki nielada. Jak tu dojść do ładu z kobietą, która nie tylko, że się na niczem nie zna, ale jest w dodatku rozrzutną i checiwą panowania?

— Ha! — Może Bóg pozwoli, że sobie damy radę, powtarzał stary krzepiąc się nadzieją; nadzieja ta jednak, nie przynosząc spodziewanych rezultatów, złościła mu na czole coraz-to szersze bruzdy i szronem bielila włosy.

Wezwanie do dziedziczki zaniepokoiło go. „Będzie nowa uciecha,“ — myślał, biegnąc o ile mógł najprędzej, zły, że oderwano go od kosiarzy. Juścić nie innego, tylko pieniędzy chce... Zkąd ich wziąć?

— Jestem na rozkazy jaśnie pani — rzekł, kłaniając się dziedzicze zaraz od proga. — Siano koszą... chciałem przypilnować...

— Mój p. Kwapiewicz, — rzekła pani, cedząc zwolna słowo po słowie i mrużąc oczy, — potrzebuję pieniędzy. Ciagle pan coś zbierasz, coś kosisz, a ja na konieczne wydatki doprosić się pieniędzy nie mogę.

— Jaśnie pani! — odpowiedział rządcą, zarumieniony, — zbieram wprawdzie i koszę, ale to wszystko idzie na utrzymanie domu i gospodarstwa. Niech jaśnie pani raczy obliczyć, ile to kosztuje.

— Brednie mi opowiadasz, kochany panie, czyście brednie! Właśnie mi o to idzie, żebyś pan rachował i obliczał; zaraz byłoby inaczej... rzekła p. Dolewska.

— Ja też obliczam i rachuję, proszę jaśnie pani, — rzekł przykro dotknięty rządcą. — Gdyby tak jaśnie pani raczyła także...

Przerwała mu. — Ale nie bądźże dzieckiem, mój panie Kwapiewicz. Od czegoż mam ciebie? To także!... Rachunkami mam się jeszcze zajmować? Co pan znowu? Pan gospodarujesz, pan się wszystkim zajmujesz... ja się nie wtrącam do niczego; ale chcę mieć jakieś owoce z tego gospodarstwa pańskiego, — mówiła zirytowana.

— Owoce te, jaśnie pani, żywią dwór, gości, służbę i podtrzymują gospodarstwo, — odpowiedział, biorąc na odwagę rządcą. Robię co — mogę... dodał ciszej.

Mówić wiele o swej pracy, o swoich zasługach, nie leżało w charakterze Kwapiewicza.

— Gawędy, gawędy, — mruknęła p. Dolewska niechętnie. — Zresztą radz pan jak chcesz. ja pieniądze potrzebuję, i mieć je muszę. Panienska się nudzi... imieniny nadechodzą... Gości zaprosić trzeba, na to rady nie ma.

— Może jaśnie pani będzie łaskawą poczekać do żniw, — proponuje zakłopotany rządcą. — Po żniwach znowu będzie skąd czerpać, ale teraz?

— Teraz, przerwała mu pani żywo, kręcąc pan głową, jak ci się podoba, byle pieniądze były. Dwieście dukatów mi wystarczy.

Rządcą targnął wąż ze złością.

— Chyba żyto na pniu sprzedam. — rzekł ledwo się hamując. — Ale proszę jaśnie pani, to wstyd, to zgroza, jak Boga Kocham! — Cena nie wiadoma, żniwa nawet nie zaczęte... Desperacya!...

— No, no, — tylko nie desperuj, mój p. Kwapiewicz. Takie zabawne przesady!... Na pniu sprzedane, czy nie, to już nie wielka różnica, skoro się i tak sprzeda. Tylko się pośpiesz, mój p. Kwapiewicz!

Podniosła się z krzesła majestatycznie i skinęła mu głową.

— Idź pan już, idź, — Kochany p. Kwapiewicz. Siano sprzątasz, toś tam potrzebny. Ja to pojmuję.

Kwapiewicz szastnął nogami machinalnie, zmiął czapkę w rękach i wyszedł. — W ganku dopiero pełną pierś odetchnął.

— Jak Boga Kocham, cierpliwości mi już brakuje, mruknął. — Otarł pot z czoła i jak struty powlókł się na łąki.

— Zkąd ja mam brać do milionset dyabłów. Zkąd brać? — szeptał do siebie, zapomniawszy nawet o sianie i kosiarach. — Mój p. Kwapiewicz ratuj, mój p. Kwapiewicz daj... przedrzeźniał półgłosem p. Dolewską. Cóż to? Kwapiewicz studnia bez dna, czy co u kaduka? Sprzedawać zboże na pniu, to u niej nie... Siarczyste! Zeby nie panienska, jak Boga Kocham, jużbym nie wytrzymał. Człowiek się ludzi, że przecie coś jeszcze uratuje, dorobi... Ale co to przy takim rządzie!

Szedł i wdychał ciężko. Na łące dopiero równowagę umysłu odzyskał.

— Hej! — a zbierała tam kosą od rzeki, hultajel! — krzyczał donośnym głosem.

Wobec kosiarzy i kóp siana już ułożonego, powoli o kłopotach swoich zapomniął.

VIII.

Po rannem nabożeństwie i wczesnym obiedzie p. Kamieniecka z Haliną i Stanisławem wyjechała do Zagórowa. Hala szczebioce całą drogę. Zaczepia Stanisława, przymruża szafirowe oczy i rumieni się jak wiosienka. P. Kamieniecka, jakkolwiek blada, wydaje się zupełnie spokojną. Czteromilową przestrzeń przebyto szybko i ani się spostrzegli, kiedy konie zatrzymały się przed Zagórowskim pałacem. — Pałac ten jest chlubą i dumą p. Dolewskiej. Kto wie, czy nie kocha go na równi z wnuczką.

Dwupiętrowy, z galeryjką, wieżyczkami, pawilonami i pawilonikami, z tarasem, spuszczać się nisko ku parkowi, imponuje zdaleka i serce właścicielki napełnia słodkim przekonaniem, że na kilkanaście mil wokoło podobnego mu nie znajdzie. P. Dolewski wybudował go, gdy córka dorastać zaczęła, i tu Lila obchodziła swoje weselne



gody, a p. Dolewska cieszyła się myślą, że i wnuczce wyprawi wesele w pięknym zagórowskim pałacu. Lila była w swoim budoarze, gdy wpadła pokojówka Różia z oznajmieniem, że przyjechali goście z Kamieniec.

— Jaka liberya! — proszę jaśnie panienci, jaka karetka! — Cała w środku niebieskim adamaszkiem wybita i takie srebrne klamki u drzwiach... Śliczności!... opowiadała z przejęciem.

— Cóż się tak dziwisz? — skrzywiła się Lila. — Nie widziałas nigdy karety i liberyi?

Podniosła się z kanapki leniwie i ziewnęła.

— Jaśnie panienka się nie przebierze? — spytała Różia. — Zawołam p. Anastazyę...

— Nie trzeba, — krótko odparła Lila. — Możesz odejść.

Skoro tylko drzwi za Różią się zamknęły, podeszła do lustra. — Spojrzała i uśmiechnęła się.

Ubrała się dziś w białą tiulową suknię z kilkoma drobnymi falbankami u dołu. — Na lekko odświeżonej szyi skromny medalion w kształcie koczyczka z niezapominajkami z turkusów, na czarnej aksamitee zawieszony i ciemne warkocze puszczone swobodnie. Piramida, którą z jedwabistych włosów Lili z wielkim mozolem budowała p. Anastazyja codziennie, znikła dziś bez śladu. Zamiast grzywki parę loczków tylko błąka się na białem czole i tłuszcinkim karczku. Nic więcej: toaleta skromna a taka świeża i pełna wdzięku.

Piękna panna przygląda się sobie z rozkoszą.

— Zkąd też babci przyzła do głowy trwoga o męża dla mnie. — szepnęła, śmiejąc się.

Wyjęła z bukietu gałązkę konwalii i wpięła ją we włosy.

— Iść już, — czy nie iść? — medytuje. — Nie potrzebuję znów tak bardzo się śpieszyć. Niech się tam rozgospczą i poznają bezemnie.

W salonie tymczasem powitalne grzeczności zamieniano zobopólnie.

Ze strony p. Dolewskiej za wiele było nawet czułości, niesmacznej, sztucznej, którą chłodem swoim mitygowała p. Kamieniecka.

— Pleż to lat upłynęło. — mówi szybko Dolewska, z właściwym sobie brakiem taktu, poruszając wspomnienia przeszłości. — Pleż to lat upłynęło kiedy miałam przyjemność podziwiać łaskawą sąsiadkę na balu w Kłodawie; świetne czasy! — Lila moja królowała... Pamiętam, pamiętam! — Ktoby to był przypuścić, mój Boże, że tak rychło mnie osieroci?

Wonijącą chusteczkę przyłożyła do oczów, poruszona niby wspomnieniami o córce, którą, mówiąc nawiasem, dawno już w pamięci pogrzebała.

P. Kamieniecka całą siłą woli tłumi bicie serca i żywy niepokój z jakim poznania Lili oczekuje. — Dla jej wytwornego umysłu, paplanina p. Dolewskiej jak i cała ta wizyta wogóle, nieznośną jest męczarnią.

Drzwi rozchyliły się lekko i powiewna postać Lili wpłynęła do salonu. — Ruchy ma tak elastyczne, obłoki białego tiulu otulają ją jakby mgłą przejrzystą. Z prześlicznym ukłonem, zatrzymała się przed kanapą.

Na widok Lili twarz p. Kamienieckiej znieruchomiała. Zesztywniały jakby porażone piękne jeszcze rysy pod wpływem doznanego wrażenia. Wszystkie krew zbiegła do serca i pozostawiła za sobą kredową bledność. Zdawało jej się, że widok Lili będzie mogła znieść spokojniej, ale uderzające podobieństwo córki do matki, tak żywo przypomniawszy jej najboleśniejsze w życiu chwile, że zapanować nad sobą nie miała siły.

Piękna panna stoi przed nią z wyzywająco podniesioną główką, z miną zaciekawionego, pieszczonego dziecka. Jest niezmiernie zdziwiona.

W czarnej atlasowej sukni, suto przybranej koronkami, w brylantowym naszyjniku, z delikatną cerą i pełnymi blasku oczyma, p. Kamieniecka wygląda dziwnie młodo i sympatycznie. Zaimponowała Lili. Gdy jednak delikatne jej paluszki spotkały się przy powitaniu z zimną jak lód dłonią p. Kamienieckiej, w tej jednej chwili odeduły obiedwie, że między nimi nie sympatii nie nawiąże się nigdy.

Piękne kolorem i oprawą oczy Lili przed bawczym wzrokiem p. Kamienieckiej ujemnych stron ukryć nie zdołały. Po za ich niezaprze-

czoną pięknnością widziała na dnie tych źrenic obłudę, krańcową zalotność i głębokie o siłę swych wdzięków przekonanie.

Dla Stanisława skromna toaleta Lili i minki umiejętnie zastosowane do okoliczności, były czemś nowem i dziwnie rozkosznem. Takiej, jaką widzi teraz, nie widział nigdy: czaruje go i rad by upaść przed nią na kolana i wielbić ją bez końca.

— Moja jedyna wnuczka — przedstawia p. Dolewska Lile, patrząc na nią z dumą. — Nie mam nikogo na świecie, prócz niej... Podobna do matki, nieprawdaż? Szanowna sąsiadeczka przypomina sobie zapewne Stefanową Rumszańską? Lili bardzo podobna do matki o! bardzo! Smutna to przeszłość! W tak młodym wieku, w samym rozkwicie...

Drżące usta p. Kamienieckiej nie zdobyły się na odpowiedź:

Gadatliwa starszka spojrzała na nią i snadź wspomnienie jakiegoś uprzytomniło się jej w pamięci, bo zaambarasowana umilkła nagle. Przybycie innych gości rozjaśniło nieco sytuację.

Lila nie zapomniwała jednak o swej przybranej roli. Mając niebezpieczną współzawodniczkę w Halinie, starała się oczarować wszystkich. Dla pokazania p. Kamienieckiej, że o Stanisława nie dba, nie zwraca na niego uwagi, zajęta hrabią Zenonem, którego przybycie dziś szczególnie uradowało p. Dolewską.

— Niech widzi ta arystokratka, jakich to Lili ma konkurentów, myślała przesadzając się w grzecznościach dla hrabięgo. Gdyby tak Lili miała rozum! Cóż z tego, że kulawy i ospowaty... Czyż on temu winien? Za to majątkiem go Pan Bóg wynagrodził. — Czem więcej korzyści widziała w tym związku, tem grzeczność jej dla p. Kamienieckiej przybierała odcień chłodniejszy.

Stanisław z pochmurniało nieco: — nie dlatego, by choć na chwilę przypuścić, że Lila wybrałaby zarozumiałego kalekę li tylko dla jego bogactw i tytułów; ale tęskno mu było do jej spojrzenia, do jej uśmiechu, radby szepnąć jakieś gorące słówko, które żywszy blask oczu, lub cień rumieńca na jej piękne lica-by wywołało.

Wieczór był wonny, cichy, hrabia zaproponował przechadzkę. Przykłaśnięto projektowi ogólnie.

Rolski ani na chwilę nie odstępował Haliny; oczarowała go odrazu.

— Popłyniemy łódką — zaprojektował, gdy się w ogrodzie znaleźli. — Jeżeli nie straszy panią ta ciemna głębia i nie nuży monotonna pieśń żab — żartował.

— Owszem — odparła ucieszona. — Lubię bardzo wodę, a minorowe tony żabiej pieśni, mają dla mnie osobliwszy urok. Jest to niemal konieczne dopełnienie wiosennego wieczoru. Marzy się wtedy rozkosznie... nieprawdaż? — uśmiechnął się Lucyan. Wyłączny to przywilej młodzieńców i szczęśliwych istot — dodał.

— Istotnie, odparła Halina z żalostną miną — mama jednak nie bardzo marzyć pozwala. Nie chcąc na jej gniew zastąpić, rzadko kiedy korzystam z piękności letnich wieczorów.

— Czyż doprawdy ktokolwiek mógłby się gniewać na panią? — przerwał Lucyan, patrząc na nią z rozkoszą.

— O! — uśmiechnęła się figlarnie — zdarza się to nawet bardzo często. — Właściwym sobie ruchem przymknęła lekko powieki. — Wyznać muszę, że poniekąd zasługuję na to. Niesforny, hardy dzieciak jestem i, jak twierdzi mademoiselle Berta, niezmiernie trudny do prowadzenia.

— Któż jest mademoiselle Berta? jeśli spytać wolno? — zagadnął Lucyan, rozbawiony więcej tą naiwną odpowiedzią dziewięćdziesiąt, aniżeli najwyższymi dowcipami Lili.

— Mademoiselle Berta? — rzekła, ożywiając się. To wieczna kula u mojej nogi, mówiąc językiem zwykłych śmiertelników. Nie zdołasz pan sobie wyobrazić, jaka to nieznośna osoba. Cała jej dążność kieruje się jedynie ku temu, aby mnie zamknąć w ciasnym kółku salonowych konwenansów i nieznośnej etykiety. A ja tego nie cierpię. Lubię swobodę i ojezulek weale mi tego nie gani. Za to mama i p. Berta godzą na nią ustawicznie.

Czy pan przypuszcza, że staw jest bardzo głęboki? — spytała, zatapiając wzrok w ciemne nurty, które spokojne i tajemnicze stały teraz przed nimi.

— Niech pan nie myśli, że się obawiam, ale...

— Ale nie życzyłabyś pani sobie mieszkać w kryształowych pałacach, z rusalkami i ondynamami? — dokończył Lucyan, bawiąc się jej trwogą, którą zamaskować chciała. — Czy tak? A przecież to bardzo poetyczne!

— Być może — odparła. — Ja widocznie nie znam się na poezji. Nie nęci mnie to weale. Czy pan dobrze umie wiosłować?

— O tyle, że z pewnością nie utopię pani — rzekł, pochylając się ku niej. — Kosztem życia własnego uratowałbym panią, gdyby zaszła tego kiedykolwiek potrzeba. Proszę o tem pamiętać i oddać mi się bez trwogi.

Uśmiechnęła się, lekko zarumieniona.

— Widzę, że miłość bliźniego szerokie zastosowanie znalazła w pojęciach pana — rzekła. — Pokrólewsku rzucasz pan życie swoje nawet tym, których mało znasz... Chociaż zdaje mi się, że i ja zrobiłabym tak samo — dodała po chwili namysłu.

— Wierzę — odparł: — tylko to co ja bez wahania zrobiłbym wyłącznie dla pani, pani zrobiłabyś dla każdego. Proszę o rączkę; brzeg tu spadzisty i wilgotny.

Halina podała mu rękę i obejrzała się.

— Kuzynku Stasiu — zawołała do idącego w pewnym oddaleniu Stanisława. — Czy nie popłyniesz z nami? Taki śliczny wieczór!

Lila przerwała rozmowę z hr. Zenonem i odwróciła się.

— Nie powinienes pan zgadzać się na tę wodną przejażdżkę — rzekła do Stanisława. — Noc bezksiężycowa, staw głęboki. Młode panienci miewają czasem fantazyje, które niefortunnie się kończą.

— Lucyan jest chyba odpowiedzialnym opiekunem — odpowiedział Stanisław.

— Czy pani nie ma zamiaru popłynąć z nami?

— Nie — odparła. — Nie lubię wody i lękam się jej...

Zbliżyli się do brzegu.

— Kuzynku Stasiu — zaszezebiotała Halina — tak-bym rada popłynąć do tamtej wysepki... Patrz tylko, jak tam ładnie.

— Upewniam panią, że nie znajdziesz tam nic osobliwego — rzekła Lila. — Zmrok nadaje fantastyczne kształty krzewom i rzuca tajemnicze cienie. Zład cały urok. Rozczarujesz się pani, zobaczywszy to zblizka.

— Ja nie wiele wymagam... — roześmiała się dobrodusznie Halina. — Woda, nieco drzew, jakaś niewielka łączka, wszak prawda, kuzynku? — spytała, zwracając się do Stanisława.

Stanisław uśmiechnął się.

— Tak — rzekł. — Ale, Halinko, chcę cię o coś prosić. Będę jutro woził cię po jeziorze ile zechcesz; dziś wszakże porzucę projekt zwiedzenia tajemniczej wyspy. Staw głęboki...

— Przesadzasz, Stachu, w troskliwości swojej o pannę Halinę — rzekł nadąsany Lucyan. — Ze mną jest zupełnie bezpiecznie.

— Niech pani nie zważa na niego — zwrócił się do Haliny. — Poprosimy kogo do towarzystwa i zrobimy spacer uroczy.

— Dziękuję panu — odparła. — Poczekam do jutra, skoro Staś sobie życzy.

Sarkastyczny uśmiech przewinął się po ustach Lili.

— Pupilka pańska jest bardzo posłuszna — rzekła do Stanisława. — Ale jak pan zabawnie w roli opiekuna wyglądasz! Wróćmy na taras hrabio, nieprawdaż? Tu jest wilgotno... Panna Halina może namówi kuzynka i popłyną... My tu nie mamy co robić, jako zawzięci antagoniści wodnego sportu. *Allons!*

Odwróciła się do hrabięgo; Stanisław podbiegł ku niej żywo.

— Nie zmienię postanowienia... — rzekł — powracamy razem...



Cóż go obchodziła Halina, spacer woda, cały świat choćby, wobec zmarszczki na białem czole Lili?

Ona odwróciła się od niego uśmiechniona.

— Panna Halina będzie żalować... — rzekła — takie młodziutkie damy lubią, aby ich słuchano.

Stanisław nie odpowiedział. Patrzył jej w oczy tak gorąco, błagalnie. Wyczytała w jego wzroku miłość i tęsknotę bez granic. Pochlebilo jej to.

— Pan hrabia spór nasz rozsądzi — ozwał się głos jakiś za nimi. — Prosimy hrabio!

Pucłowaty z różową, pełną piegów twarzą, młody Karolek Zgórski stanął przed Lilią.

— Łaskawa pani — rzekł z galanteryjnym ukłonem. — Zmuszeni jesteśmy na chwilę krótką pobawić państwa towarzystwa pana hrabiego. Pan Roński twierdzi, że na ostatnich wyścigach „Kassandra“ wzięła pierwszą nagrodę. Nie mogę mu przebaczyć podobnej nieświadomości. Zrobiliśmy zakład i prosimy hrabiego na arbitra.

— Ale dajcież mi pokój — obruszył się hrabia, rzucając zawistne na Stanisława spojrzenia.

— Panie hrabio, to sprawa honorowa; w takich razach się nie odmawia — rzekł zaperzony Zgórski. — Prosimy, bardzo prosimy!

Rad nie rad, hrabia odejść musiał.

— Dogonię państwa wkrótce — rzekł do Lili. — Kradną mi takie rozkoszne chwilki... — dodał szepetem.

Stanisław zdobył nareszcie upragnione „sam na sam.“

Obejrzał się, Halina z Lucyanem i resztą towarzystwa skręciła w boczną aleję.

— Może pani raczy oprzeć się na mojem ramieniu? — rzekł nieśmiało, pochylając się ku Lili.

Wsunęła mu rączkę pod ramię bez wahania. Nie czyniła tego nigdy, chociaż niejednokrotnie spacerowali z sobą i prosił ją o to.

Szli czas jakiś w milczeniu. Jemu było tak, jakby znalazł się odrazu w niebie. Przyciskał jej rączkę do piersi. Jeszcze nigdy nie ośmielił się uczynić tego tak wyraźnie. Nie gniewała się; czuł, że z nadmiaru wzruszenia chwilami serce mu bić przestaje, oddech zapiera się w piersi.

Lila szła obok niego spokojna. Chłodna jej natura nie zapalała się tak łatwo.

— Czemu pani tak uparcie odwraca się dziś odemnie? — spytał wreszcie Stanisław, tłumiąc wzruszenie. — Byłem zrozpaczony. Czemu zasłużyłem na niełaskę?

Lila nie odpowiedziała. Stanisław przystanął i pochylił się ku niej.

— Czyż mi nie dasz pani spojrzeć w swoje oczy?... — poszepnął z prośbą gorącą.

Ciemne oczy pięknej panny nakryły się rzęsą.

— Panno Lilo — szepnął z wyrzutem; — Lili moja... moja... moja... — powtarzał rozmarzony i ogarniało go wzruszenie tak rozkoszne, tak nowe...

Serce jego dla niej dopiero pierwszym uczuciem miłości zadrgało. Ale Lila nie chciała teraz usłyszeć wyznania. Sama jeszcze nie wiedziała jak jej postąpić wypadnie. Po co się śpieszyć? I tak nieć go będzie, gdy tylko zechce. Ocknęła się niby raptownie i obejrzała wkoło.

— Panie Stanisławie... — szepnęła zalekniona — zapóźnił się... Czas wracać aby na nazwę maruderów nie zasłużył. Babcia będzie się gniewać...

— Słówek tylko panno Lilo... jedno słówko! — prosił gorąco.

— Nie, nie! Bardzo proszę. Wracajmy.

Peznął ją już o tyle, że się nie sprzeciwiał. Szli ku pałacowi w milczeniu. Na kamiennych schodach wiodących na taras oczekiwało na nich towarzystwo całe. Nie brakło i hrabiego; skrzywiony, nadasany, wypatrywał oczy za Lilią.

Byli już bardzo blisko, gdy Lila coś sobie przypomniała. Zwróciła się do Stanisława.

— Matka pańska podobała mi się niezmiernie — rzekła. — Zdaje mi się, że już ją Kocham. Poproszę babcia aby, o ile można najprędzej pojechała ze mną do Kamieniec.

Stanisław nie spodziewał się tego. Ze strony Lili było to wiele, bardzo wiele. Szybko, jak mgwienie oka, usta do jej ręki przyłożył.

— Dziękuję! — szepnął upojony. — Czemu nie mo-

żesz pani czytać w mem sercu! Poznałabyś jak gorąco cię uwielbiam.

Światła bijące z okien i różowe szklane banie oświetlające taras, przywołały go do rzeczywistości.

Taki był upojony, rozmarzony tego wieczora, że ani szczebiot Haliny, ani nikt z całego towarzystwa, rozbawić go już nie potrafił. Było mu zaciąsnie w obszernych salonach Zagórowskiego pałacu. Cheiał uciec, uciec co prędzej ze swoim szczęściem, nie słysząc, nie widząc nikogo.

W takim stanie upłynęła mu cała droga z powrotem. Zmęczona Halina usnęła. Pani Kamieniecka udawała że śpi, nie chcąc by się jej obecnością krępował.

Widziała, że jest podniecony dziwnie, że siwe, głębokie jego oczy promieniają szczęściem. Poznała Lilię — i nie miała mu już nic do powiedzenia.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

CXXXI.

Nieuzeźwi (I. Disonesti), dramat w 3-ach aktach, z włoskiego tłumaczony; autor G. Rovetta — Teatr Rozmaitości, d. 23-go Kwietnia.

Rozmaitościom dostała się sztuka bardzo poważna, nowa jeszcze zupełnie tam nawet, gdzie ją wystawiono, świeża wszędzie talentem, z jakim ją napisano. Pierwszy raz dopiero oglądam tego Rovetta na scenie i nie wiem nawet, co dotychczas utworzył; ale nietrudno mi już powiedzieć, że napisze niejedną jeszcze rzecz kapitalną, jeśli tak dalej iść będzie, jak w *Nieuzeźwionych* zaczął. Jest to realista rzetelnie jędrny, a nie tylko czupurny lub roznerwowany poszukiwacz jedynej prawdziwej prawdy, jaką ci panowie impresyoniści w literaturze, — mający dziś już z jakie sześć tytułów do wyboru — sami jedni tylko stworzeniu, przyrodzie wydzierać umieją. Realizm jego jest szczerością psychologiczną i szczerością społeczną zarazem; objawia się w pogłębianiu egoizmu, namiętności i uczuć, a nie w malowaniu zmysłowych, pod zmysły podpadających szczegółów życia rodzajowego, potocznie trywialnego, jaką jest np. cała sfera gospodarstwa, ekonomiki domowej, fizycznych przygód i wypadków w rodzinie — wraz z miłym drobiazgiem, z woniami i swądami, z wymysłami starych, krzykami nowonarodzonych i tem wszystkim, co Zola, istotny ojciec *vero-naturalizmu*, za godne swego powieściopisarstwa uznaje. W dramacie Rovetty jest wprawdzie kucharka z koszykiem, ale nie dla niego tylko tam jest: jedno przy drugim rzuca ciężkie słowo, którego wagi sama nawet nie czuje. W jej wprowadzeniu widać rękę dramaturga.

Obyczajowa sfera sztuki nie odznacza się czystością. Panią i sługę do jednego worka zaszyć i dalej z kamieniem na dno! Jeden starzec — spoddony próżniactwem i zmysłowością całego życia; drugi — upadający samem dotknięciem, człowiek, co pod hasłem *la donna è mobile* nie waha się korzystać, najpierw ze śmiertelnej choroby, a potem z dobroduszości — czyjej? swego pupilla. A ten pupil uczciwy — jakże prędko perłę swoją dyabłu za cudze franki sprzedaje! Rzeczywiście uczciwymi w *Nieuzeźwionych* są tylko ci, co grzeszyć nie mogą: żona, przytłoczona cierpieniem o męża, którego kocha, pani Fornaris, i kilkoletni synek państwa Morettich, Hektorek. Wrażenie jakby mrozu sprawia ta sztuka, zresztą pisana zimno, i jedynie tylko naprężonym sytuacyom, wybuchowym momentom, doskonale prowadzonym, zawdzięcza ją to ciepło psychiczne, bez którego nie tylko wstrząsnąć, jak to chwilami czyni, ale nawet zająć-by nie zdołała. Przy lżejszych wypadkach i stosunkach, i przy mniej dobrem opracowaniu ich artystycznym, oddychanie tem zimnem a tak

miazmatycznym powietrzem mogłoby być wcale dla słuchacza niepożądanem.

Czego chcą ci pesymiści? — zawołał pewno nie jeden z widzów, nie widząc satyry zastłoniętej przez dramat, a trzymając się zasady, że dramaturg, jak filister, powinien wychodzić tylko pod niebo pogodne? Sztuka tłumaczona, włoska, a więc można trochę chłodniej, bezinteresowniej patrzeć na to odzwierciedlanie życia, wydające same tylko czarne obrazy. U nas tak złych ludzi i złych stosunków niema. Doskonale! Pozwólcież być Włochom zлыми a ich dramaturgii — czarną. Dobrze, choćby dla własnego zadowolenia, popatrzeć na gorszych i czarniejszych od siebie.

Co mnie głównie w dramacie Rovetty uderzyło, to rozumna budowa. Nasza dramaturgia oryginalna, wyższa czy niższa, marna czy trwała, z tej właśnie strony rozumu jest najslabiej od krytyki obwarowana; Włoch rozumem jaśniej: wszystkie drobne rysy, jak drobne strumienie, spływają do głównego potoku psychologicznego; każda figurka podrzędna przyczynia się do uwydatnienia głównych; scen bez związku z całością, dla rozśmieszenia lub nauczenia widza wprowadzanych, nie dostrzegłem jako słuchacz i widz, a nie sądzę, abym je dostrzegł jako czytelnik. Jak, na przykład, to dziecko wprowadzone na scenę rozjaśnia pogląd na psychikę matki! Ta p. Eliza Moretti nie jest bynajmniej grzesznicą z temperamentu; wybrałaby lepiej, gdyby w ogóle wybierała. Cała rzecz, że weszła w bagno i nie chciała się już z niego wydobyć, bo gałganki drożdże jej były od czci niewieściej. Czuć w niej doskonale wstręt, uleganie przymusowi, ale upragnionemu, poddawanie się jakiejś konieczności, ale własnowolnie spowodowanej. Za taką koniecznością idzie pani Moretti, takiej słucha, temperament, serce, czy natura, — obce są podrygom jej woli lichej, znieprawionej zupełnie przez to liche użycie, jakie zapewnić może strój, suknia, kapelus, świecidełko, zasobny stół, wygodne mieszkanie. Miłość macierzyńska pozostanie, ale moralną swą płodność utraci; ziarno troski rodzicielskiej zgnije w gnijącym sercu. Będzie jeszcze dziecię zabawką, uciechą, ale przestanie być już istotą czerzoną, na łonie macierzyństwa piastowaną. Matka żyć mu może jeszcze lata całe, ale macierzyńska ręka nie poprowadzi go już nigdy w przyszłość.

Obok tej jednej natury pospolitej postawił Rovetta drugą, męża Elizy. Jest to nowoczesny uczciwy: chodzi mu tylko o honor, o dobrą opinią tej klasy społecznej, do której sam należy; wstrętu do złego, zdolności do moralnego gniewu, nieważności ku temu, co człowieka niegodne, próżno w nim szukać. Jak tamta miała konieczność nad sobą z nędznej namiętności dostatku, tak ten będzie ją miał z nędzniejszej jeszcze namiętności okłamywania świata dla honoru. I doskonale się staje, że to uczucie honoru, będące tylko pewną postacią egoizmu, człowieka oburzającego się na złodziejstwo Fornarisa poprowadzi właśnie do złodziejstwa. Ów honor nieszczęsny nie tylko znieprawia Karola, ale go i zaślepi, wydrze mu nawet rozsądek. Jakże mógł ten człowiek, sprawujący na nas w akcie I-ym wrażenie jędrnej, pociągającej prawości, nie odczuć wstrętu do oddychania zatrutem przez dary i datki Sigismondiego powietrzem; jak mógł nie widzieć, że utrzymanie tajemnicy, znanej śludze-powiernicy i posłańcowi sklepowemu — będzie dziecinną igraszką! Co cheiał ocalić, gdy zamiast zerwać związek upadający, wzmocnił go jeszcze pobudkami honoru? I na co ten cały krzyk jego po poznaniu prawdy, ten świetny ból serca, obrażonego w swych prawach i w swych ideałach? Jakże prędko po tem duszeniu żony w akcie II-gim następuje spokojne z nią pożyte, jakby nigdy nie! Natura nawskroś pospolita, cała na wierzechu, bez głębi, bez zasad, bez własnej treści i własnej nie-spożytej wartości.

Ma swoje bagnisko żona, ma i mąż. Karol Moretti, wesół chłopak a płytki człowiek, kandydat na doskonałego filistra, wchodzi w błoto z chwilą zgodzenia się z położeniem, jakie mu wytworzyło wiarołomstwo żony. Kto taką pojedynawczość okazał, ten już dyabłu zapalił dwie świece. Podobało się i jemu lekkie życie, nęcą go wygo-



dy, przeraża troska o chleb dostatni, do którego, dzięki p. Sigismondemu, był przywykł. Jak w jego niepokoju o honor domu nazewnątrz, o zamydlenie ludziom oczów, przebija się tylko tchórzowstwo, tak i jego postanowienie dalszego pożycia z żoną znajduje dla siebie fundament w tchórzliwości leniwego, do walki z przeciwnościami leniącego się ducha. Autor tego nie uplastyczył, ale bez takiego lenistwa natury pospolitej, tuzinkowej, nie można budowy psychicznej Karola wyrozumieć. Niedostateczną, a więc błędną, jego charakterystykę w akcie I-ym uważam za główną, jeśli nie jedyną, wadę sztuki. Nie czynię autorowi zarzutu z tego, że nie ukazał fatalizmu, z jakim człowiek sprzymierzający się z nieprawością musiał się sam znieprawić: mogła się taka wyraziłość nie zgadzać z realistycznym, zimnym stylem sztuki; ale zblądził Rovetta, gdy samymi faktami, jaknajbardziej przedmiotowymi, nie starał się przekonać widza, że właśnie ten wstyd społeczny, w imię którego Moretti postanawia prowadzić dom dalej na tejsamej stopie, jak dawniej, był już sam przez się przestępstwem i niczem innym być nie mógł. Z jakiej pobudki kradnie Moretti pieniądze powierzone mu przez nieszczęśliwą Fornaris? Z pobudki honoru; ale takiego honoru bronić-by nie potrzebował, gdyby nie miał przy sobie wiarołomnej żony. Dla niej przeto stał się złodziejem. Obok wszystkiego jeszcze ją tak cięło kocha, że rozstać mu się z nią niepodobna. Charakter miękki, gutaperkowy, łamiący się pod lada ciężarem, typ ogromnej większości, bez żadnej siły oporu i rzutu, umysł mały, ograniczony, nawet serce niezupełnie czyste i wreszcie honorowość, choć niby aż do owego fałszywego wstydu posuwająca się, w istocie jednak nieszczera, bo trudno uwierzyć w to, aby przez trzy miesiące od wyzdrowienia jedna nawet kropelka podejrzeń nie wpadła w duszę męża — niebędącego przecież patentowanym głupcem, ani niegodziwcem.

Właśnie honor rzetelny nakazywał zerwanie z przeszłością, wyrzucie się z dostatku przesiąkniętego hańbą, odważne rzucenie się w znoje i boje życia, i zrezygnowanie na niedolę, biedę i nieodłączne od nich cierpienie. Ale nie od takich dusz wymagać takich postanowień. Rovetta, z duchem satyryka, choć nie w formie satyry, chciał ukazać człowieka dzisiejszego, człowieka wypełniającego statystykę zepsucia, a przy sprzyjających zlewu okolicznościach dostającego się i na rejestr kryminalny. Nie o wyższy, niezwykle, ale o pospolity powszedni chodziło mu charakter; ukazaniem go chciał odstraszyć. Gdyby był Sudermannem, opracowałyby tezę honorowości społecznej, tego przekłętę wstydu, będącego tylko tchórzliwą pychą — tezę całkiem oryginalnie sformułowaną w sposób wypukle stawiający ją przed oczy. Gdyby był dramaturgiem dawnego stylu, udramatyzowałyby tę pochyłość fatalną, po której stoczyć się musiał człowiek uważający rzetelność w płaceniu długów żoninemu wiarołomstwu za obowiązek mężowskiego honoru. Ale i taki, jaki jest, okazał się umysłem twórczym, samoistnym, pisarzem dramatycznym wysoce uzdolnionym. Sztuka jego nie tylko zostawia wrażenie, ale i do myślenia pobudza, a to samo już jest jej zasługą, że nie kręci się w kółku banalnej miłości, banalniejszego jeszcze życia salonowego i półsalonowego, i zdawkowej towarzyskiej obłudy.

Grano *Nieuczciwych* bardzo dobrze; stosują do przedewszystkiem do dwóch ról głównych: panny Marcello i pana Nowickiego. Było to godne siebie małżeństwo Moretti. Artystka znalazła w gwałtownej scenie aktu II pole dla talentu swego bardzo wdzięczne, a umiała bardzo dobrze i w spokojnych biernych scenach zaznaczyć ów przymus, pod którym działa jako żona niewierna. W akcie II, kiedy się cała prawda odkrywa, z zadowoleniem wielkiem patrzyłem na grę fizyognomii, na opadłą w bezwładności postać, na ruchy umiarkowane, zwolna wracające pod wpływem odzyskiwanej energii. I nastrój głosu i wystąpienie podczas pokutniczego wyznania, przerywane łkaniem, odznaczało się mile zawsze przez widza witaną prawdą, tem miłszą, im trudniejszym jest dany moment psychiczny żywego życia do odtworzenia w sztucznej.

P. Nowicki grał w pierwszym akcie jak wesół, sangwiniczna, szczerą naturą; w drugim jak demonicznie podrażniony mąż; w trzecim jak przestępcę, uciekający przed katem własnego sumienia. Zrozumienie roli zupełnie, jak ją autor rozumieć kazał; zdaje mi się tylko, że słabszym naciskiem na prawość charakteru Karola możnaby zmniejszyć to złe, jakiego dopuścił się autor, przez zbyt prostą a ubogą charakterystykę w akcie I. Nie jest to wszakże zarzut, — jest tylko domniemanie, może błędne. — Bankierem Sigismondem był p. Leszczyński, trochę za stary, sztywny i wstrętny. — Rola niegodziwca, „starszego pana“, dostała p. Rapackiego. Dzięki wyrazistej grze, można było naczynie stwierdzić cały rozum, z jakim autor wprowadził tego Orlandiego, aby motywować lekkość jego córki, pani Moretti. Z takiego gniazda — cóż dobrego wyjść mogło? Uwagę zwróciła na siebie pani Federowiczowa rolą żony nieuczciwego Fornarisa, utrzymaną w szlachetnym stylu nieszczęścia i cichego cierpienia.

Stanisław Krzeminski.

## List z Rzymu

Ludno tu u nas i gwarno. Jeszcze nie rozjechały się tłumy ludzi, których ściągnęły uroczystości kapłańskiego jubileuszu Ojca Świętego, gdy zjazd lekarzy na międzynarodową wystawę lekarską, sprowadził ich tu liczbę znaczną, bo 7.612 osób, między którymi znajdowało się i naszych liczba znaczna, to też raz po raz można było usłyszeć mowę naszą na ulicach Wiecznego Miasta. Zgromadzenia kongresu odbywały się w obszernym, szlachetnej architektury gmachu, *Il Policlinico*, a miano tu dość do roboty, bo złożonych zostało do roztrząsania 331 memoriałów, że przecież zjazd dzielił się na dziewięćdziesiąt wydziałów, więc i praca była odpowiednio podzieloną.

Bywały tu konferencje zajmujące nie tylko lekarzy, bo traktowano obok specjalnie medycznych kwestye interesujące wszystkich, jak na przykład kwestyą nowożytną broni palnej i ran, jakie zadaje. Publiczność rzymska zwiędzała też tłumnie szalaś, mający służyć jako szpital połowy dla rannych, wystawiony przez zgromadzenie ryerczy maltańskich na jednym z dziedzińców gmachu a mieszczący w sobie kaplicę połową. Kobiet doktorów było blisko półtora tysiąca a wykazało się dowodnie, że nauka medycyny i jej praktyka nie zabija przecież w kobiecie estetycznych stron odczucia piękna i tych potrzeb umysłu, które się z tem łączą, bo panie te podzieliwszy się na oddziały, zwiędzały wszystkie wielkie pomniki i pamiątki Rzymu, kościoły, poczynając od bazyliki S-go Pawła, katakumby S-go Kaliksta.

Zgromadzenie zjazdu wyprawiło sobie dziesięć wspaniałych bankietów, lecz żałować trzeba że zapowiedziana a czarujący widok mogąca przedstawić iluminacja starożytnych, pamiątkowych miejscowości: Kolizeum, Forum romanum, nie przyszła do skutku. Niemniej było tu można napaść oczy nigdzie indziej nie oglądaniem widokami, między którymi trzeba dać miejsce pierwsze aktowi beatyfikacyi, czyli zapisania w poczet błogosławionych wielbnego Jana z Avili, hiszpana. Akt ten odbył się rano w bazylice S-go Piotra według ceremoniału uświęconego przez wieki, a który przecież od 1870 r., to jest od czasu uczynienia Rzymu stolicą Włoch, miał tu miejsce po raz pierwszy. Od chwili gdy Papię nazwał się więźniem z Watykanu, odbywały się uroczystości takie w górnej sali tego gmachu po nad przedsiönkiem, zamienionej na kościół; obecnie Ojciec Święty wrócił do dawnego zwyczaju ze względu na ogromny napływ cudzoziemców, nie mogących się pomieścić w kościele górnym. Wspaniała to świątynia i wspaniale też była udekorowana festonami czerwonego aksamitu i adamaszku ze złotą frendzlą. W głębi ukazywał się oczom wchodzącego wielki obraz olejny, malarza wysoko tu

cenionego, Ludwika Grilloti a przedstawiający Świętego, ku którego czei uroczystość się odbyła. Papię, jak zwykle podczas takich wielkich uroczystości, został wniesionym na *Sedia gestatoria*, to jest przenośnym tronie pod baldachimem, z którego zstąpił przed ołtarzem S-go Piotra i modlił się klekając. Po skończonej modlitwie prokurator bosych trynitarzy, do którego to zakonu należał Święty, ofiarował Leonowi XIII bogatą oprawną książkę, zawierającą żywot błogosławionego, zwit rycin przedstawiających jego czyny i relikwie w bogatym relikwiarzu. Chór kapeli Julii wykonywał zachwycająco śpiew *Tantum ergo* a Papię błogosławił zgromadzonych w kościele i trzeba być osobiście świadkiem takiej uroczystości wśród ścian starożytnej, wspaniałej świątyni, aby zrozumieć wrażenie, jakie sprawia.

Do rzeczy bardzo zasmucających należy fakt niewątpliwy, bom go sprawdzałem u źródła, że największa ilość rozwodów, to jest unieważnienia małżeństw jako nielegalnie zawartych, bo w katolicyzmie rozwodu innego nie ma, pochodzi z naszego kraju. Obecnie jest spraw takich w odnośnej kongregacyi czternaście i z żalem pomyśleć trzeba, jakim będzie wychowanie dzieci tych rozłączonych rodziców? Obmyślają też tutaj ludzie dobrej woli środki pomocy dla moralnej i materyjalnej nędzy takich biednych istot, których nikt objęciem prawdziwie miłosnem do serca sobie nie przytuła, nad którymi nikt opieki prawdziwie tkliwej nie rozpościera. Los przynajmniej najbiedniejszych dozna może ulgi pewnej, bo zawiązało się tu „Stowarzyszenie międzynarodowe opieki nad dziećmi“, które ma zwołać w lecie roku przyszłego kongres, podejmujący sprawę tych istot biednych. Że język francuzki jest takim organem międzynarodowego porozumiewania się ludzi, jak niegdyś łacina, więc ogłoszenia oraz korespondencją w tym języku prowadzić się będą i osoby pragnące porozumieć się z komitetem głównym kongresu, powinny używać go, znosząc się ze stowarzyszeniem, którego adres jest: „Au comité Organisateur du Congrès International pour l'Florence, Place d'Azeglio Nr. 7.

Wracając do kongresu lekarzy dodać mi należy, że członkowie jego byli bardzo gościnnie przyjmowani i po za kołem kolegów; minister oświecenia, Baccelli, dał obiad, na który zaprosił czterdziestu z pośród najznakomitszych pod względem naukowym, a zgromadzenie to przedstawiało prawdziwie biblijne pomieszanie języków i posiłkowane się tu nieraz łaciną. Na drugi dzień urządzony został podwieczorek w ogrodach Kwirynału, na który zaproszono tysiąc kilkaset lekarzy, a wielu z pomiędzy nich z żonami i była to uczta iście włoska, zastawiona wśród mirtów, bukszpanów. Lokaje w karmazynowej liberyi domu sabaudzkiego roznosili najwytwórniejsze przysmaki i wina, muzyka grała ukryta wśród klombów zieleni. Wkrótce przybyła królewska para, król Humbert po cywilnemu, królowa Małgorzata zawsze elegancko a bardzo gustownie strojna i nie pokazująca lat swoich, do czego przykłada się wewnętrzna pogoda jej ducha, dobroć, łagodność niezmierna. Nie jest to przecież brak żywego odczuwania życia w jego wyższych ideałach, umie ona sędzić i rozróżniać ludzi, umie nie dopuszczać do siebie tych, których nie szanuje i nikt nie wymógł by na niej tego, aby pozwoliła zbliżyć się do swego boku osobie, której życie kryje jakiś upadek nędzny. Ale za to jest niezmiernie miłą i dobrą dla tych, którzy na szacunek, na cześć ludzką zasługują i w czasie zjazdu lekarzy, gdy wraz z królem Humbertem zwiędzała wystawę medycyny i higieny, urządzoną dla braku miejsca w pałacu sztuk pięknych, a gdzie Baccelli z obowiązku swego urzędu ich przyjmował, zakonnik reguły S-go Franciszka nie liczący się z przepisami etykiety dworskiej, przystąpił do królowej i ofiarował jej bukiet kwiatów, podany ręką przyprawną, bo własną odcięto mu pod Solferino. Królowa poznając w nim przez to żołnierza, zasłużonego Włochom, nie tylko bukiet przyjęła, ale dziękując rozmawiała uprzejmie, a potem uścisnęła rękę mechaniczną, którą się posługiwała.

Pani ta umie być zawsze i w każdym kierunku dobrą przez zdolność tkliwego odczucia stanów serca ludzkiego. Syndyk Rzymu, książę Emanuel



di Poggia Suasa, stracił w tych czasach jedyne syna, dziedzica dóbr jego i godności, dwudziestoletniego młodzieńca, którego szlachetna i gorąca natura nie pozwoliła mu wieść jednostajnego życia wśród rozrywek i zajęć drobnostkowych młodzieży magnackiej. Dobrawszy sobie grono towarzyszy podobnego mu usposobienia, wybrał się na zbadanie nieznaną dokładnie okolic Afryki, gdzie zabitym został na polowaniu przez rozszalonego słonia i boleść ojca była wielka. Zwłoki przywieziono do Rzymu, pogrzeb był wspaniały, lecz biedny ojciec, który był wdowcem, szedłby sam jeden za trumną, gdyby królowa nie znalazła się obok niego, zajmując jakoby miejsce matki i ludzie już się poniekąd przyzwyczaili do tego, że wszędzie gdzie jest jakiegokolwiek rodzaju cierpienie do łagodzenia, pani ta stawia w roli dobrej Samarytanki i chce ulżyć ciężaru, pod którym gną się barki ludzkie, do czego już się poniekąd przyzwyczaili ludzie.

Niejaki Luparo, bandyta będący postrachem okolic Messyny, który już raz schwytyany przesiedział lat dziesięć w więzieniu, gdy nakoniec wypuszczonym z niego został, zachciał wieść żywot uczciwy, co przecież nie łatwo mu przyjść mogło, bo prześladowany przez ludzi, zowiących go zawsze zbrojcem, wrócił do dawnego rzemiosła a zachowały i mściwy palił wście i dwory, aż pewnego razu tknięty znowu wyrzutami sumienia po jakimś okrutnym czynie mordów, sam się oddał w ręce sprawiedliwości z zastrzeżeniem, że zdaje się na łaskę i niełaskę królowej Małgorzaty.

Król wysoce też ceni małżonkę swoją i kocha ją jak za pierwszych dni małżeństwa, a skończył niedawno, bo w połowie zeszłego miesiąca, lat pięćdziesiąt, ale jest to jeszcze duchem człowiek młody, a że życie jego było zawsze czynne, bo natura jest energiczną, więc nie znać na nim ubytku sił pod względem żadnym. W dzień urodzin swoich przyjmował wszystkich dygnitarzy, władze wszystkie, które śpieszyły złożyć mu życzenia swoje i wyrazy czci, która jest nieklamana wśród narodu całego, a byli tu prezesi senatu i izby poselskiej, ministrowie i sekretarze stanu, miejska rada Rzymu z sendykami swoim, księciem Poggio Suesa na czele. Potem nastąpił wielki obiad dany dla ambasadorów i ministrów, wyższych dygnitarzy, na którym zwrócono uwagę, że Crispi, który ma już skończonych lat siedemdziesiąt pięć jest również niemal młodzieńczo czerstwy i zdrowy, żywy, często gorący w rozmowie, a przytem bardzo dowcipny, co nasuwa myśl, że ludzie, którzy nie pędzą życia leniwie, których dusza nie śpi a serce uderza w piersiach gorąco, zachowują dłużej wraz z młodością ducha i młodość całego organizmu.

Szkoda przecież ze starą Romę chcą tu usilnie odmładzać. Wjeżdżający w jej mury a wielkich wrażeń przez pamiętki przeszłości spragniony podróżnik, widzi przed sobą miasto zupełnie nowoczesne, z szerokimi ulicami, oświetlonymi elektrycznością i nie nie przemawia tu do niego, że jest to miejsce wielkich pamiętek: Miasto Wieczne i to tylko stanowi charakterystyczny rys Rzymu, że spostrzegasz już na ulicach mnóstwo ludzi widocznie obcych, przybyszów z różnych stron świata, których poznać nie trudno, że się tu dopiero co znaleźli. Jeżeli mieć będziesz dobrego przewodnika, to ten ci poradzi, abyś spojrział najpierw na miasto Cezarów ze szczytu kopuły Ś-go Piotra a gdy tam staniesz i wzrok spuścisz na dół, nie zapomnisz już nigdy tej chwili. Po nad tysiącami tysięcy starych, czerniałych dachów ujrząz las najrozmaitszych wieżyc i kopuł a złożone krzyże, które błyszczą po nad niemi, dadzą ci znać odrazu, że jesteś w miejscu jakiemu podobnego nigdyś poprzednio nie oglądał i oglądać nie będziesz, choćbyś przejechał z końca w koniec świat cały. Daje ci się to również poznać w chwili przybywania pobożnych pielgrzymek, które dążą tu ze wszystkich stron świata i trzeba przebywać w Rzymie, aby ujrzyć coś podobnego—coś co cię wzrusza i razem raduje, bo to, co oczy oglądają staje ci się dowodem, że ludzkość dzisiejszej doby czasu nie jest bynajmniej tak materyalną, jak to głoszą jedni tryumfalnie a drudzy w skargach załosnych nad upadkiem wśród ludzkości tego ducha

o który ta ludzkość cała woła, wyciągając ręce ku górze: Veni Creator!..

W tej chwili właśnie, kiedy list ten do was kreślę, przedstawia się tu dotykany tego dowód: tłumy ludzi obcych a dodać trzeba prostactwów ubogich, zapełniają ulice Rzymu, zwracając na siebie wzrok oryginalnością odzieży, ruchów, językiem wreszcie nieznanym, chyba jakiemś wyjątkowemu lingwiście. Jest to pielgrzymka hiszpańska, o której zapowiedzianym przybyciu wspomniałem powyżej: przeszło trzy tysiące ludzi, którzy podążyli tu na uroczystość beatyfikacji ziomka swego, a do szczegółów tam zamieszczonych dodać mi jeszcze należy, że wszyscy ci pielgrzymi udali się całym gronem na grób Piusa IX, którego pamięć zasług i świętobliwości nie zatarła się dotąd wśród ludzkości. Pielgrzymi trafili właśnie na zjazd bardzo liczny uczonych ludzi z Włoch całych a to z powodu pogrzebu człowieka, który zajmował w tem kole jedno z miejsc pierwszych, księcia Baltazara Buonocompagni-Ludovici. Wielkie rody włoskie zatraciły w tym kierunku tradycję starą i zjadł zasługi zmarłego odznaczają się tem wybitnie. Biblioteka jego liczyła się nie tylko w kraju, ale i w Europie całej do najbogatszych zbiorów, zwłaszcza w zakresie dzieł naukowych, przede wszystkim historycznych. W czasach dla włoskiego narodu nieszczyśliwych poświęcał się całkowicie tej pracy i przez lat dwadzieścia wydawał sprawozdania z odkryć naukowych i historycznych: kwartalnik zatytułowany „Buletyn bibliograficzny.“ Że był bogatym a żył skromnie, majątek jego wzrastał, a gdy mu o tem mówiono, odpowiadał, że jesto zapas dla przyszłości. Poważny jego umysł dawał mu zawsze taki pogląd na życie, przez który ogarniał przedewszystkiem interes ogółu, będący wytycznym punktem dla istnienia, dla prac jego wszystkich, a choć czezony bardzo, nie należał do tych ludzi, o których wszyscy wiedzą i dopiero po jego śmierci ogół włoski poznał za pośrednictwem dzienników jak wielce był zasłużony Włochom. Odzywają się też dopiero po śmierci głosy liczne, aby wzniesionym mu był pomnik w Rzymie, Leon XIII odezwał się z tem zdaniem do otoczenia swego, co wkrótce do wiadomości ogółu doszło i ma być rozpisany wkrótce na to dzieło sztuki konkurs.

Szerokie pole działalności w tym kierunku otwiera się we Włoszech. Rada miejska Wenecji ogłosiła właśnie, iż za rok, bo w kwietniu 1895 r., urządzoną tam zostanie międzynarodowa wystawa sztuki na pamiętkę uroczystości srebrnego wezela królewskiej pary. Wystawa ta będzie pierwszą z rzędu wystaw takich, odbywać się tu mających co dwa lata, a choć były głosy odzywające się, iż konkurencja wszechświatowa stanie się rywalką groźną dla artystów włoskich, dzienniki odpowiedziały, że rozbudzi to drzemającego ducha spadkobierców Rafaela, Tycyana, dodając iż Włochy odrodzone powinny i w tym kierunku zająć wśród narodów historyczne miejsce swoje. Posiadają one własny a wielki ideał, który sztuka uwidocznić powinna i trzeba im tylko wcielić go w dzieła swoje. Bez tego nigdy nie zrodzi się wśród żadnego narodu sztuka wyższa; oddziaływała ona na życie, ale z życia czerpać też musi i bez takiej działalności piękna artystycznego na człowieka i odwrotnie ducha jego na sztukę, nie zrodzi się żadne wyższe dzieło w tej dziedzinie twórczości.

Leon XIII obdarzony został niedawno wspaniałym podarunkiem, ofiarowanym przez ambasadora rzeczypoślitej Kolumbijskiej. Są to trzy płyty wykute z rodzimego złota, które według badań miejscowych archeologów służyły wodzom indyjskim jako napierśniki. Są one przecież bardzo podobne do napierśników stanowiących część stroju pontyfikalnego kapłanów izraelskich i asyryjskich, znaleziono je w starym grobie indyjskim wśród zarosli. Są one większe i mniejsze, co może odpowiadało godności tego, którego pierś okrywały; największa z pośród nich waży 390 gramów, długa na dwadzieścia cztery centymetry, szeroka dwadzieścia jeden. Nie wydają już one tajemnicy swojej nikomu tak, jak człowiek nie zdoła jej wydrzeć tysiącom otaczających go zagadek, tajemnicą jest dla niego ziemia na której mieszka, nad którą jakoby panuje, tajem-

nicą każda gwiazda na niebie i własny duch żyjący mu w piersi.

W Cagliari ukazała się chmura szarańczy, rozprzestrzeniona na obszarze trzydziestu pięciu gmin; rząd czyni co tylko może aby ta straszna plaga, niszcząca wszystkie nadzieje rolnika, odparta być mogła, ale lud miejscowy nie bierze tu odpowiedniego udziału, bo widzi w tem rękę Boga i tłumnie ciśnie się do kościołów, można też powiedzieć w obec tego naszym starem przysłowiem, że w piersi ludzkiej Bóg jest mocniejszym, niż wszyscy święci.

August.

## Dobra rada.

Paryżkie czasopismo „Figaro“ zamieściło niedawno bezimiennie skreślone zagadnienie młodej panny w kwestyi niemałego znaczenia, bo choć odnosiło się to do jej osobistego położenia, dotykało stosunków życia bardzo licznego zastępu kobiet — kobiet młodych, stojących u progu życia. — Mam lat dwadzieścia — pisała — pochodzę z rodziny należącej do klasy intelligencji, wychowanie moje było staranne, skończyłam dobrze nauki, jakie zwykle otrzymują młode panny z tej sfery, zdałam w końcu egzamin na nauczycielkę wyższą, a dodać należy, że posag mój może być jedynie bardzo skromny. Gdy skończyłam lat osiemnaście rodzice wprowadzili mnie w świat, jak się mówi pospolicie, nie wątpię ani na chwilę, że moje wykształcenie i moja powierzchowność, bo ludzie mówią, iż jestem ładna, sprawią, iż w krótkim czasie wyjdę za mąż.

Powodzenie miałam wielkie. Na balach publicznych, na wieczorach prywatnych nie brakowało mi nigdy tancerzy odpowiedniego mi wieku, ale kawalerowie starsi nieco, którzy przekroczyli już lat trzydzieści, trzymali się jakoś na stronie, a mnie zdunziło się w końcu to życie. Cóż mi należało począć? Dość się natańczyłam, nabawiłam i zaczęły oblegać mnie myśli, zali to koniec na tem — zali nikt nie wyciągnie do mnie ręki, abysmy szli razem przez życie? Cóż mi należy uczynić? Z natury nie jestem płochą, nie jestem zalotną, hołdy składane jedynie mojej urodzie nie zadawalniają mnie, i do czegoż mam się zwrócić? Myślałam, zali by nie było dobrze studyować medycynę, ale studia te zabrałyby mi nie jeden rok czasu, i do lat trzydziestu co najmniej musiałabym być uczennicą.—A nauczycielstwo? Zaczyna już być obecnie więcej chcących nauczać, niżeli potrzebujących nauki... Więc może zwrócić się do handlu? Dla kobiety dobrego urodzenia, jak się mówi pospolicie, zajęcie to odpowiedniem nie jest, coż więc mam uczynić ze sobą? Zapytanie to odnosi się nie tylko do mego osobistego położenia, bo znam z jakie pięćdziesiąt, sześćdziesiąt panien, które udreżca podobna niepewność — trwoga o przyszłość...

Dumas podniósł rzucone tu zagadnienie i odpowiedział pytającej za pośrednictwem tego samego czasopisma, w którym zapytywała. — Uderzyło mnie to szczególnie w liście skreślonym przez dwudziestoletnią pannę, że w zagadnieniu tego rodzaju, które stawiła, nie ma ani słowa o miłości, o potrzebie serca, o tem co jest ideałem w życiu ludzkim? Nie dotyka wcale tego, co by poświęcała, gdyby łącząc się węzłem nierozzerwanym z kochającym ją, uczciwym człowiekiem, stała się towarzyszką jego życia w szczęściu czy niedoli, w tych przejściach rozmaitych jakie życie we dwoje z konieczności przebywać musi? Nie pójdziesz też pani za mąż zapewne, bo mężczyzna ukochać może tylko taką, która kochać jest zdolna i radzę też nie liczyć już pani na małżeństwo — liczyć na siebie samą a nie pogardzaj pracą, która jest duszą życia ludzkości. Żadaj od samej siebie tego, czego żądasz od mężczyzny — godności osobistej, która nie opiera się na elegancji, wdzięku, urodzie, jaką cię natura obdarzyła — na czas krótki. Będzie to najlepszym sposobem zdobycia so-



bie męża, a ten który cię ukocha taką, niewątpliwie godzinę będzie miłości.

Nie myśl też pani o tem, abyś — za pomocą większego posagu mogła łatwiej znaleźć męża; pracuj, pracuj z przejęciem się tą pracą, z zamiłowaniem jej, z pojęciem obowiązku, jaki się z nią łączy, z uczuciem godności, którą odziewa pracującego. Nie jest to może łatwo takie pojęcie życia sobie wyrobić, takim pojęciem życia się przejąć, ale zawsze lepiej to jest, nie polować na męża i mniej to poniża, gdy pomimo takich zabiegów mąż ów znaleźć się nie da.

## Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż powstał tam projekt urządzania ogólnych wystaw rolniczych co lat dziesięć w jednym z większych miast państwa; wystawy gubernialne, lub prowincjonalne mają być urządzane co lat pięć. Cała Rosya zostanie podzielona na kilka oddziałów różniących się w niektórych charakterystycznych sposobach prowadzenia gospodarstwa. Oddziały te składać się będą, każdy z kilku gubernii, gdzie wystawy urządzone będą kolejno. Zniesione będzie udzielenie medali nagrodowych dla właścicieli wystawców, zastępując je przez nagrody w pieniądzu, oraz w udoskonalonych narzędziach rolniczych, maszynach, nasionach. Każdy właściciel otrzymujący nagrodę otrzyma świadectwo odpowiedzialnie.

— Odbyta w Petersburgu narada przedstawicieli rządu oraz przemysłowców, zajmujących się handlem naftowym, oświadczyła się za zniesieniem opłat przewozowych za wywóz nafty. Przemysłowcy prosili ze względu na konkurencyjność nafty amerykańskiej o zniesienie taryfy przewozowych kolei zakaukaskiej.

— Warszawska rada miejska dobroczynności publicznej przygotowuje projekt zakładania domów pracy według wzoru Sal zarobkowych imienia Staszycyca. Znajdą tu zatrudnienie dorośli i dzieci sieroty, lub pozbawione opieki rodziców czy krewnych. Zakłady te mają być otwierane w różnych punktach prowincyi.

— Serye odczytów na rzecz Osad rolnych zakończy p. M. Gawalewicz czterema odczytami p. t. „Królowa niebios.“ Pierwszy z pośród nich odbył się w środę d. 2-go Maja, a treścią jego było we wstępie: „Poetyczność przedmiotu — Wyobrażenia ludu o Matee Boskiej — Ideał kobiecości — Geneza legend — Analogie mitologiczne. Część I-a zawierała: Inwokacya — Stworzenie ziemi — Dziewica z kwiatu, pierwsza niewiasta — Walka o nią złych duchów z dobrymi — W kmiciej zagrodzie — Ucieczka do Egiptu — Podanie o paproci, osinie i leszczynie — Nocleg u zbójcy — Siewna — Dzieciństwo Pana Jezusa — Podanie o kłosie zboża — Kleśka głodowa i ziarno pszenicy — Węże i ptaki — Proroczy sen — Na Golgoecie — Wniebowzięcie.“ Bilety nabywać można w składzie nut Gebethnera i Wolffa przy ulicy Czystej, w Biurze zarządu Towarz. Osad rolnych, ulica Królewska Nr 33, oraz na godzinę przed rozpoczęciem odczytu przy wejściu. O dniach i treści drugiego, trzeciego i czwartego odczytu zawiadomienie pomieszczone będzie w warszawskich pismach peryodycznych.

— Budowa gmachu na pomieszczenie zbioru dzieł sztuki i szkoły rysunkowej na placu przy ulicy Królewskiej należącym do władzy nauko-

wej, będzie zaniechana, z powodu iż plac ten ma być sprzedany przez licytację publiczną dla zdobycia tym sposobem funduszu potrzebnego na budowę gmachu, który stanąłby na terytorium uniwersytetu.

— Uporządkowanie Ogrodu Pomologicznego już zostało niemal wykończony i wstęp dla publiczności już wolny. Powziętym został projekt urządzenia w ogrodzie fontanny.

— W kościele Ś-go Antoniego przy ulicy Senatorskiej ołtarz wielki został odnowiony, staraniem zacnego plebana, ks. Siemca. Cztery boczne ołtarze są odnowione, zarówno jak mieszczące się w nich obrazy. W oknie obok ołtarza znajduje się obraz Ś-go Antoniego, malowany na szkłe.

— W Kancellaryi Salonu Artystycznego na Nowym Świecie znajduje się do sprzedania obraz Ś-jej Weroniki, większych rozmiarów, starego pendzla szkoły hiszpańskiej na bardzo nagłą potrzebę restauracyi ubogiego kościołka we wsi Pieczętych w powiecie grójeckim. Obraz rzeczony pochodzi z XIV wieku.

— Zarząd Muzeum Przemysłu i Rolnictwa rozesłał odezwę do właścicieli majątków ziemskich, zawierającą projekt ubezpieczenia ludzi pracujących na roli oraz służby dworskiej. Projekt przedstawia warunki następujące 1-e każdy robotnik, pracujący na roli od lat 17 do 55, może ubezpieczyć dla siebie kapitał w summie od 100 do 5.000 rs., który wypłaconym mu będzie, skoro skończy lat 65, bez względu na ilość wniesionych wkładów. Stała opłata roczna za ubezpieczenie na 100 r., wynosi: w wieku lat dwudziestu rs. 1 kop. 99, w wieku lat trzydziestu rs. 2, kop. 72, w trzydziestu pięciu rs. 3, kop. 30, w czterdziestu rs. 4, w pięćdziesięciu rs. 7, kop. 40. O ile sam pracodawca bez pośrednictwa agentów zawiera wręcz z Towarzystwem umowę o tyle otrzymuje ulgę na pierwsze dwa lata w stosunku 2% od kapitałów ubezpieczonych w wysokości 100 do 500 rs. na osobę w stosunku 1% od kapitałów ubezpieczonych wyżej 500 rs., na osobę. Po upływie trzech lat ubezpieczenia w razie zerwania przez ubezpieczyciela umowy Towarzystwo obowiązuje się zwrócić pewną część wniesionych opłat, podług dołączonej do polisy tablicy. Zatem gdyby po upływie roku pracownik zmienił służbę, dawny pracodawca ma możność wycofania pewnej, ściśle oznaczonej części opłat, wniesionych za pracownika. Dodać trzeba że każdy pracownik bez względu na wiek, może za dopłatą 55 kop. rocznie od 100, pozyskać odpowiednią stu rublom ubezpieczonego kapitału rentę roczną, płatną do śmierci, jeżeli z przyczyny nieszczęśliwego wypadku stanie się niezdolnym do pracy. Z osiągniętych zysków wydziela się 7% na dywidendę dla ubezpieczonych, skutkiem czego opłaty pierwotnie wyznaczone z czasem zmniejszyć się mogą.

— Rada dobroczynna opracowała projekt domów pracy na wzór sal zarobkowych imienia Staszycyca. W domach tych znajdą zajęcie obok dorosłych i dzieci, pozbawione opieki rodziców lub krewnych. Domy te będą zakładane w różnych punktach na prowincyi.

— Wiedeńskie obserwatorium astronomiczne ogłasza iż wkrótce ukaże się na horyzoncie naszym wielki nowy kometa, zdaje się iż odkryty w Siednej przez astronoma Gale. Od 1-go Kwietnia widzialnym on jest przez mieszkańców trzech części świata, ale tylko przez teleskop. Zbliża się do ziemi z błyskawiczną szybkością, droga jego jest pionowa w stosunku do płaszczyzny ziemi tak, że przedstawia to widok jakoby runąć miał na ziemię. Najbliższa jego odległość od ziemi, taka jak Venus, 56 milionów kilometrów, stała się w dniu 1-go maja. Zapewne oglądać będzie można tego

olbrzyma sfer niebieskich gołem okiem, przecież bez trwogi, ponieważ odległym jest mimo to od ziemi o przestrzeń wielką.

— W wiedeńskim Kunstlerhauzie przyznano odznaczenie pochwalne Julianowi Fałatowi za obraz „Powrót z polowania“, Wierusz Kowalskiemu za obraz „Wyznanie“, p. Boznańskiej za portret.

— Z polecenia ministra oświaty Madejskiego ma być wykonany portret byłego ministra Dunajewskiego, obecnie zastępcy protektora krakowskiej Akademii Umiejętności, ma być pendzlem jednego z malarzy naszych wykonany. Portret ten w skutek uchwały senatu uniwersyteckiego zostanie zawieszony w głównej auli *Collegii Novi*.

— Uroczyste zebranie krakowskiej Akademii Umiejętności odbyło się w dniu 2-gim Maja. Na zebraniu przemawiał professor uniwersytetu Ulanowski.

— Krakowskie Tow. Kredytowe rękodzielników i przemysłowców odbyło doroczne zgromadzenie walne, na którym sprawozdanie roczne wykazało, iż obrót kassowy przedstawiał w roku ubiegłym 4.700.000 zł. reń., czysty zysk przyniósł 5.400 zł. reń.

— Galicyjskie stowarzyszenie Czerwonego Krzyża liczy blisko cztery tysiące członków, posiada 479 schronisk, majątek jego przedstawia 105.705 zł. reń.

— Część znaczna greckiego miasta wielkiej przeszłości, Teby, legł w gruzy po kilkokrotnie powtórzonym trzęsieniu ziemi. Obecnie Teby, położone w okolicy bogatej w winnice, są nie dużym miastem, licząc 5.000 mieszkańców. Trzęsienie ziemi sprawiło wielkie spustoszenie w Trypolizie, Salonice, na wyspie Melos, w Koryncie, przyczem zginęła znaczna liczba ludzi. Stosy gruzów zalegają znaczną przestrzeń, są wsie po których nie zostało nic, prócz ruin.

## MYŚLI.

— Natura wyznaczyła życiu naszemu krótki przeciąg czasu, ale pamięć o życiu szlachetnie wiedzionem trwa przez wieki.

*Cicero.*

— Mędrzec gardzi sławą, ale nie czecią ludzką.

*Seume.*

— Sława i spokój cichy rzadko są przyjaciółmi sobie.

*Hippel.*

— Co jest sława? Tęcza i promień, który się w lżach odbija.

*Petőfi.*

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści „Lady Verner“, przekład z angielskiego ark. 6-ty

**TREŚĆ:** Korzyści i niebezpieczeństwo nowożytnego wykształcenia — Pogawędka, przez ?? — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — List z Rzymu, przez Augusta. — Dobra rada. — Z bieżącej chwili. — Myśli.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 6-ty T. I, **Zuch dziewczyna**, przez autorkę powieści Lady Verner, przekład z angielskiego. — 42 wzorów i robót z opisem. **Sekreta gospodarskie.** — Dyspozycya stołu.